

Jak zgłupieć lub się wygłupiać korzystnie

28 sierpnia 2017

Raz po raz dziwimy się, zdumiewamy – i nadziwić się nie możemy: Jak to jest możliwe, że mądrzy ludzie plotą głupstwa, poważni ludzie się wygłupiają, autorytety kompromitują (i to tak, że sam sposób przekreślenia własnej renomy czy reputacji jest kompromitujący), że arbiter elegancji, dobrego tonu i taktu w jednej chwili okazuje się prymitywem i chamem, autorytet moralny okazuje się kłamczuchem, cwaniakiem i krętaczem, demaskator nadużyć aferzystą i złodziejem, legendarny bojownik-bohater pospolitym tchórzem lub służalcem?



GŁUPOTA JAKO SPRAWDZIAN JAKOŚCI

Nabieramy się wtedy na stereotyp – pozorną oczywistość – że człowiek jest tak mądry, jak wykształcony, tak piękny jak jego wystrój (słowny, gestykularny i odzieżowy), tak szlachetny jak idee, które głosi i propaguje, tak dobry, jak dobre towarzystwo, do którego należy (choć „dobry” co innego znaczy w każdym kontekście). Z oporem przyjmujemy do wiadomości, że – jak powiedział podobno Max Scheler – drogowskaz nie musi, nawet nie może iść; a ornitolog nie fruwa, niestety. Co

najwyżej rozumiemy i nie dziwimy się, że jeśli ktoś się upił, to zrobił głupio, bo wtedy właśnie plecie głupstwa, bluzga lub zachowuje się tak, że to my się wstydzimy za niego.

Nabieramy się też na pocziwe, perswazyjne (i życzeniowe) definicje inteligencji, rozumu, autorytetu. I dlatego tak zaskakuje nas blamaż ludzi, którzy dla forsy, kariery medialnej i celebryckiej albo z ambicji politycznej i ideologicznego, oszołomnego nawiedzenia zaprzeczają oczekiwaniom, jakie wzbudziły ich dawne zasługi, osiągnięcia i order, nagrody czy też aktualne tytuły, stopnie naukowe, wojskowe, wieloletni niekwestionowany dotychczas profesjonalizm. Zwłaszcza życie polityczne obfituje w takie ciągłe detronizacje, obciachy, spektakularne samobóje. Ale i w kariery przekorne: im większa miernota, tym wyżej mierzy i sięga.

Jedna z definicji inteligenta zakłada, że jest to ktoś tyleż wykształcony, co wskutek tego wykształcenia mądry – bo wie, rozumie, potrafi wytłumaczyć (sobie i innym), bo umie myśleć i nie potrafi nie myśleć. Inna zakłada kryteria jeszcze bardziej ambitne: inteligent to ktoś dociekliwy, kto myśli, rozmyśla i namyśla się w tym sensie, iż wciąż szuka (dziury w całym), nie wierzy zbyt łatwo ani do końca w nic, skłonny jest raczej wątpić. I przy tym ma tę odwagę, a i przekorę, by nie podążać owczym pędem za stadem dookoła, nie ulegać opiniom powszechnym, nawet jeśli to jest źle widziane, podejrzan, ba, karcone. Chciałoby się, żeby tak było, ale tak nie jest.

CO NAS KUSI DO GŁUPSTWA?

Kiedy jednostce na czymś bardzo zależy, a zwłaszcza, gdy chce coś osiągnąć za wszelką cenę, może to ograniczyć jej horyzont poznawczy i zdolność rozumowania, a nawet samą chęć myślenia. Dotyczy to nawet ludzi o potencjalnie rozległych horyzontach – wykształconych i obdarzonych niepospolitą wyobraźnią. To paradoks, ale w pełni realne i dość częste są sytuacje, kiedy to ludzie niezwykle kompetentni, uzbrojeni w ogromną wiedzę,

znajomość rzeczy i doświadczenie nie potrafią (bo nie chcą?) z tych atutów skorzystać. Szczególnie częste są pęknięcia między wiedzą, doświadczeniem, kompetencją a charakterem; gdyż to, co wiem lub umiem nikomu (mnie też?) nie jest potrzebne, a nawet przeszkadza w przystosowaniu do sytuacji, układu sił, do powstałej okazji do awansu, zarobku czy jakiejś innej korzyści.

Bywa i tak, że uznani, wybitni fachowcy w takiej czy innej dziedzinie podporządkowują swój autorytet, uprzednio zbudowany na kompetencji właśnie, określonemu politycznemu czy ideologicznemu zapotrzebowaniu... nawet za cenę zdezwuowania swoich kompetencji. Zwykłe chciejstwo, przerost ambicji lub doktrynerstwo, nie mówiąc już o doraźno-koniunkturalnej intencji agitacyjnej – skłaniają nieraz do „zawieszenia na kołku” całej własnej wiedzy, mądrości, oryginalności i krytycyzmu. A zamiast użytku z tych atutów wykazujemy się gotowością, i to gorliwą, do firmowania (za taką czy inną nagrodą) formalnym autorytetem prawd pozornie oczywistych, które „muszą być słuszne”. Oto dlaczego tak często słyszymy znanych mędrców, którzy nagle plotą banały i głupstwa, bojowników o prawdę w roli kłamczuchów, bojowników o wolność w roli zamordystów, a także ludzi bojaźliwych, którzy w kupie przeobrażają się w krzykaczy i bojówkarzy.

Wodzowie ugrupowań autorytarnych właśnie na taką metamorfozę stawiają w swoich kalkulacjach. Premiują „instynkt stadny” (właściwie ukierunkowany) i konformizm lub oportunizm jako postawę wzorcową dla uczestników swojej formacji. Osobnicy ideowi, a zarazem samodzielni zawsze są niewygodni – zarówno dla wodza-cynika, jak i dla wodza wprowadzie ideowego, ale spragnionego nieomyślności i królewskości.

To właśnie zjawisko – autokompromitacji, autodegradacji, niekiedy i samoponiżenia – można by określić niezbyt wykвитnie, ale dosadnie: głupieję, gdy mi się to opłaca. Choć nie dotyczy to wszystkich, bo niektórzy głupieją za darmo albo i na własną szkodę – ale nie dlatego, że się przeliczyli, lecz

ze strachu i z głupoty właśnie.

Tej formuły nie należy, rzecz jasna, odbierać zbyt dosłownie. W każdym razie nie w każdym przypadku.

KIEDY GŁUPIEJEMY?

Za opłacalnym samoogłupieniem kryje się kilka rodzajów sytuacji.

1. Głupieję (choć z korzyścią doraźną, bo np. w zamian za zdobycie lub utrzymanie stanowiska, za popularność i rekordy lajków), gdyż zostałem ogłupiony: fałszywą informacją (w którą uwierzyłem naiwnie i pochopnie, ale chętnie), nachalną propagandą, histerią w swoim środowisku.

2. Głupieję, bo z mojej kalkulacji, z bystrego rozpoznania okazji wynika, że opłaci się „rznąć głupa”. Nawet to, że staję się śmieszny lub niesmaczny, nie jest dla mnie przeszkodą, jeśli w ten sposób wykręcam się przed jakimś zagrożeniem (np. przed czymś atakiem lub karą za błąd, partanię) albo jeśli ta autodeprecjacja zostanie nagrodzona, bo jest zgodna z oczekiwaniem patrona, mocodawcy, sponsora.

3. „Głupieję”, dając pierwszeństwo emocjom przed myśleniem i rozumem. Zatracam dystans, umiar, samokrytycyzm, samokontrolę. I w ten sposób działam wbrew sobie – wbrew własnej naturze, przyrodzonym lub nabytym zdolnościom i umiejętnościom, zaprzeczając swojej wiedzy, dotychczasowej przenikliwości; ale w tym sensie w zgodzie ze sobą, że roznamiętniony – np. chciwością, zachłannością, pychą albo nienawiścią – właśnie tego chcę. Nie słysząc, nie słuchając ostrzeżeń rozumu czy sumienia.

4. Głupieję, bo abdykuję z własnego rozumu i myślenia na rzecz świętych autorytetów, uświęconych symboli i rytuałów. Z mędrca (jeśli nawet takim byłem lub mógłbym być) przeistaczam się w naiwniaka, z przewodnika w ślepcę.

5. Głupieję, bo przez chwilę (a bywa, że przez bardzo długi czas) myślę mądrość ze sprytem, przebiegłość z cwaniactwem, okazję i drogę na skróty z pryncypialnością. Tak jest! Wygodnie jest wierzyć, gdy „kręcimy lody” lub się czemuś sprzeniewierzamy, że w ten sposób, wręcz przeciwnie, dajemy świadectwo prawdzie, słuszności, wierności zasadom, niezłomności. Czegóż to człowiek sobie nie wmówi, gdy bardzo mu smakuje to, czego właśnie nie powinien smakować ani pragnąć.

Wtedy z uczonego przeobrażam się w hochsztaplera, szarlatana lub w ignoranta; z moralisty w kłamczucha; z filistra w kołtuna; z dżentelmena w chuligana; z satyryka w najśmieszniejszy lub najżałośniejszy obiekt satyry. Zatracam poczucie rzeczywistości, wyczucie miary różnych zjawisk i wzajemnych proporcji pomiędzy nimi. Wszystko miesza mi się w głowie i w mowie, która przybiera postać słowotoku i bełkotu. Funkcjonuję jak człowiek, który zagubił się i nie znajduje żadnego ładu ani drogowskazu w rzeczywistości. Ale radzę z tym sobie na doraźny użytek. Chaosowi i relatywizacji wartości nadaje porządek i harmonię dopiero koniunkturalna intencja w pewnym momencie wypowiedzania słów i działania. Choć wcześniej sam mogłem nie wiedzieć i nie rozumieć, co jest grane, o co chodzi, to wypowiadam się tak, jak gdybym od początku był wtajemniczony, jak gdyby to, co mnie samego zaskoczyło, było najlepszym potwierdzeniem moich przewidywań, dokładnym urzeczywistnieniem moich planów. Nieważne, czy inni w to uwierzą – ważne, że pionek odgrywa figurę, błazen gracza.

W sumie: „Głupieję, ponieważ mam w tym korzyść”. Tak, ale niekoniecznie korzyść materialną, osobistą, trywialną.

Choć może i o taką chodzić. Wówczas kołtuński system wartości (na czele z konsumpcyjną zachłannością, zawiścią, z wybuchową mieszanką kompleksów niższości i zadzierania nosa) implikuje zdeformowaną „żarliwość”, pseudoideowość, popisowe objawienia i nawiedzenia.

BUCHALTERYJNA ILUMINACJA

Nawiedzenie nie jest zwykle utratą ideologicznego i politycznego dziewictwa, inicjacją polityczną. Najczęściej oznacza nagłe i demonstracyjne odwracanie się od tych, którzy nam czegoś odmówili lub już niczego dać nie mogą, choćby nawet chcieli. A to trywialne obrażenie się na już niepotrzebnych, więc już byłych współtowarzyszy, współwyznawców przybierane jest, a jakże, w kostium heroizmu, pryncypialnej kontestacji, bezkompromisowej demaskacji itd.

Nieodłączne tego dopełnienie to zwrot ku tym, na których teraz się stawia i liczy. Infantylny podziw i serwilizm w stosunku do lepszego towarzystwa, obiektu aspiracji, w który renegat się zapatrzy, aż do urzeczenia i zawrotu głowy. A wynik tego? Ordynarny serwilizm i „dziadowanie” (żebranina): drapieżne wyciąganie rąk i uniżone całowanie po rękach, zginanie karku, padanie płackiem, wyściełanie sobą drogi przed aktualnym czy potencjalnym „chlebodawcą”. „Aspirant” do łaski pańskiej gotów jest zostać chodnikiem, po którym przejdzie łaskawca. A zarazem demonstracyjna pogarda wobec tych „gorszych” – tzn. tych, których porzuciliśmy i tych pozostałych, którym odmawiamy prawa do naszych korzyści, spośród których sami się wyrywamy jako parweniusze. Znane i stare jak świat. Typowe dla neofitów.

PROTEKTORZY I BENEFICJENCI

Takie niewybredne postawy mają orędowników i patronów, którzy sami są o tyle „lepsi”, że nie dziadują, nie płaszcą się, może nawet skrycie gardzą takim upadkiem i samoponiżeniem – znajdują w tym jednak (w uczestnictwie) inną korzyść. „Urządzą się” czy też „ustawiają się” w sensie społeczno-politycznym, prestiżowym. Opiewając i uszlachetniając kołtuńską mieszaninę żebraniny i wyniosłości, wmawiając gołodupcom w pawich piórach wielkopański status i splendor, budują własną pozycję jako proroków, ideologów, polityków, zarządców, akcjonariuszy. Kokietując głupców, ignorantów,

ciemniaków demagogią i uwznioślaniem głupstw przez nich wyznawanych wyrastają na kapłanów zbiorowej głupoty.

Ideolog – wyraziciel kołtuńskich tęsknot sam rzadko bywa kołtunem. Jest raczej filistrem, dla którego cudze kołtuństwo jest wygodne i okazjnie przydatne, a które przełyka gładko i hołubi dzięki temu, że ma w sobie wielki talent hipokryty. Dlatego może tak gorliwie, do pewnego stopnia szczerze, z dużą dozą autentyzmu (a nie tylko cynizmu i zakłamania), z dużym zaangażowaniem, a więc i z subiektywną wiarygodnością, nawet z pewną identyfikacją – wykonywać swoją pracę na akord.

Im lepszy jest w tej apologetyce, tym wyżej zajdzie, tym większe ma osiągnięcia i zdobycze ideologiczno-propagandowe oraz polityczne w służbie dla określonej siły społecznej. Żyje z prowizji od tych zdobyczy – to są jego łupy. Zaagitowałem, uzasadniłem słusność, zdemaskowałem kogo trzeba – wszystko to idzie na moje konto.

Ideolog-filister, propagandysta-filister i ekspert na zamówienie polityczne żyje z procentu od procederu ogłupiania kołtuńskiej klienteli, ale i z prowizji od wzbudzania naiwności i najniższych instynktów wśród ludzi nawet niegłupich i porządnych, którzy są podatni na urabianie. Im wprawdzie ta nabyta głupota zupełnie się nie opłaca, i to oni płacą później rachunki za to, na co dali się nabrać; ale zanim przyjdzie do płacenia rachunków, do zawodów miłosnych, pławia się w nastroju upojnym.

To portret abstrakcyjny i nikogo konkretnie osobiście nie mam tu na myśli, ale – że strawestuję Heinricha Bölla – jeśli komuś nasunie to przed oczy takich czy innych luminarzy naszego cyrku medialno-politycznego (włącznie z profesorami i ekspertami), to nie będzie to ani zamierzone, ani przypadkowe, ale wręcz nieuniknione.

Autorstwo: Mirosław Karwat

Zdjęcie: [czunss](#) (CC0)

Źródło: Strajk.eu